

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEMI ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela, 15 lipca 1951 r.

Nr 25

Ks. Dr M. Rzeszewski.

Brak ufności

Do pewnego psychiatry zgłosił się pacjent w stanie bliskim załamania. Nie mógł spać, stracił zdolność skupienia się i stale się martwił. Utracił apetyt, czuł się rozdrażniony i przygnębiony. Symptomy te wystąpiły nagle w dwa tygodnie przed wizytą u lekarza. Nigdy przedtem nie zdradzał żadnych poważnych objawów nerwowych, choć zawsze był dość lękliwy i trzymający się z dala od ludzi. W toku analizy ujawniła się następująca sytuacja. Od szeregu lat zajmował on stanowisko w wysoko wyspecjalizowanym przedsiębiorstwie. Piastował stanowisko odpowiedzialne pracując dla dwóch wódników. Kilka tygodni temu zmarł główny wódnik, a nasz pacjent miał zająć jego miejsce, przyjmując na siebie główną odpowiedzialność. Każdy inny przyjąłby z zadowoleniem nieoczekiwaną promocję. Inaczej rzecz się miała z naszym pacjentem. Choć miał pewne kwalifikacje i duże doświadczenie nie miał zaufania do siebie. Nowe obowiązki obejmowały m. in. okazyjne wystąpienia publiczne, do których czuł się zupełnie niezdolny. Gdy miał np. przemawiać publicznie, ogarniało go przerażenie. Przybywszy do lekarza był zdecydowany porzucić spółkę i wziąć jakieś pośledniejsze zajęcie. Kilka rozmów z lekarzem dopomogło mu do opanowania sytuacji i do wykonywania z powodzeniem nowych obowiązków.

Taki brak zaufania i lęk przed odpowiedzialnością nie jest zjawiskiem odosobnionym i stanowi często przeszkodę w powodzeniu życiowym. Czyni on ludzi niezdolnymi do zajęcia stanowiska odpowiedniego ich zdolnościom, kaleczy i udaremnia postęp.

Innym objawem braku zaufania jest ogólna nieufność do życia. Ofiary jej odczuwają brak bezpieczeństwa i niezdeterminowanie, wypytują wszystkich naokoło o radę i nie potrafią podjąć decyzji w ważniejszych sprawach życia. Skarżą się nieraz, że nie odczuwają swych poważniejszych lat w obcowaniu z ludźmi. Inni znów mają minę jakby wszystkich przepraszały, że wogóle żyją. Tracą rezon wobec jednego kontrargumentu i zdają się lękać wypowiedzenia swej opinii, aby się nie ośmieszyć lub kogoś nie obrazić. Wyglądają jakby żyli na diecie malutkiego ciastka. Są lękliwi, prędko milkną i są nadmiernie przeczułeni na krytykę. Nie mając nigdy poczucia bezpieczeństwa, nie są nigdy naprawdę szczęśliwi.

Taki brak ufności jest poważną przeszkodą w życiu. Hamuje rozwój osobowości i paraliżuje czasem działanie; podminowuje odwagę, wycofuje człowieka ze społeczeństwa i każe mu kapitulować wobec życia.

Blizsze badanie życia takich ludzi wskazuje często na zbytnią surowość lub szorstkość wychowania w dzieciństwie. Niektórzy rodzice, mający fałszywe pojęcie karności, sądzą, że dzieci powinny być widziane, ale nie słyszane. Dziecko jest nieraz nadmiernie ganiore lub wyśmiewane, albo sprowadzone do zupełnej bierności przez rej wodzącą matkę. Czasem w domu brak uczucia, dziecko umiera z głodu miłości, której potrzebuje każda normalna istota ludzka dla swego zdrowego i szczęśliwego rozwoju. W innych wypadkach traktuje się dziecko jak niemowlę długo po latach niemowlęcych, nie zachęcając go do samodzielności, do rozwiązywania własnych problemów, do pokonywania trudności, tak że zamiast zdobywania zaufania do siebie i niezależności, opierało się ono wciąż na innych. Gdy z dojrzałością przyszła odpowiedzialność i konieczność podejmowania decyzji, człowiek ten nie potrafił stanąć na własnych nogach, a opory życia były ponad jego siły.

Innym źródłem braku ufności i lęku przed życiem mogą być powtarzające się lub przewlekłe choroby fizyczne, zwłaszcza w okresie młodzieńczym, gdy potrzebne są siły umysłu i ciała dla dostosowania się do wzrastających wymagań życia. Młodzieniec zalega w nauce, nie potrafi dotrzymać kroku swym rówieśnikom w sporcie, i jego zaufanie do siebie i do życia zostaje podminowane. Temu brakowi zaufania towarzyszy często podejrzliwość. Rozwija się uczucie, że życie i ludzie są nieprzyjaźni, i zajmuje się stałą postawą defenzywną. Człowiek odczuwa niesprawiedliwość,



PANNÓ ROZTROPNA

wydać mu się, że życie go zlekceważyło i w porównaniu z innymi nadmiernie obciążało zawodami. Odczuwa zagrożenie i lek nieustanny, że życie w każdej chwili spłatać mu może figla i wymierzyć nowe uderzenie.

Możnaby mnożyć przyczyny takiego braku zaufania. Można by jednak ująć je w jednym zdaniu: jest to lek przed jutrem. I tu właśnie zdrowa wiara religijna może być wielką pomocą i może zmienić wylekłego, podejrzanego i wątpliwego Tomasza w człowieka ufego i szczęśliwego. Wiara w Chrystusa jako Zbawiciela oznacza nie tylko ufność w przebaczenie grzechu, ale zaufanie we wszystkich, do wszystkich szczegółów życia, dziś i jutro. Chrystus pouczał, że człowiek nie jest igraszką przypadku, rzucaną sprzecznymi prądami bez sensownego bytu, lecz że Ojciec Niebieski interesuje się wszystkim, co nas dotyczy, że nawet wróbel nie ginie bez Jego wiedzy. Chrystus pouczał, że nasze życie nie jest bezsensowne, lecz że Bóg stworzył nas z miłości i dla swej chwały. Interesując się naszymi sprawami, małymi i dużymi, interesuje się także naszą postawą wobec życia, jego prób i trudności. Nie tylko patrzy na nas, lecz jest z nami i przy nas w walce, dzieli z nami swe życie, miłość, i moc, a my powinniśmy dzielić z Nim nasze życie. Jesteśmy częścią Jego Ciała Mistycznego, zjednoczeni z Nim w Jego zwycięskim życiu zmartwychwstania. Wskazał na tę więź naszą z Nim, nazywając siebie winnym szczeniakiem, a nas latoroślami. Zaprasza nas do mieszkania w Nim, to znaczy do dzielenia Jego życia i myśli. Jak można nie ufać, mając do dyspozycji nieograniczoną moc bożą?

PRZECZYTAJ I ZASTANÓW SIĘ...

Przykazanie moje jest, ażebyście postępowali, jak małe dzieci. Jak długo czują, że je matka za rękę trzyma, idą śmiało naprzód nie tracąc odwagi, choć na słabych nogach często upadają.

Dopóki cię Pan Bóg przy dobrej woli utrzymuje, trwaj w służbie Jego, postępuj odważnie naprzód, nie zniechęcając się swymi drobnymi wykroczeniami.

Rzuć się spokojnie w objęcie dobroci Bożej i oddaj Jej uścisk miłości.

Św. Franciszek Salezy.

„W Eremo dei Carceri zrodziła się jedyna w swoim rodzaju samotność. Samotność świętego Franciszka zaludniona była całą ludzkością. Działy się w tym franciszkańskim kosmosie sprawy naszych dni i nocy, naszych prac duchowych i wątpliwości. W człowiecznej samotności św. Franciszka każdy z nas może się odnaleźć, albowiem nikt z nas nie był Biedaczyniem obojętnym. Święty Franciszek niczego w życiu nie osiągnął bez walki. Jak my wszyscy ulegali kuszeniom szatana, ale tylko jak nieliczni wybrani spośród nas umiał ujarzmić w sobie ciemność.

Często między człowiekiem a niebem burzy się morze szatańskich pokus i wątpliwości. Gdyby tego morza nie było, Bóg byłby łatwym łupem naszej tęsknoty. Bóg osiągalny bez trudu jest mitem. Bylibyśmy wówczas tylko mitem.

Roman Brandstaetter
(Z pracy „Kroniki Asyżu”)

Odkrycia archeologiczne w podziemiach bazylik św. Piotra i św. Jana

W ostatnich latach dokonano szeregu doniosłych i ciekawych odkryć archeologicznych w podziemiach bazylik św. Piotra i św. Jana w Rzymie. Najważniejszym z nich to odkrycie grobu Pierwszego Papieża. Roboty, rozpoczęte w r. 1939 w związku z przeniesieniem grobu papieża Piusa XI do Grot Watykańskich, doprowadziły do odkrycia wielkiego cmentarzyska pogańskiego, przylegającego do wzgórza watykańskiego i grobu św. Piotra. Co do dokładnego miejsca tego grobu istniały pewne wątpliwości, jednakże w ostatniej swej wypowiedzi na ten temat, w dzień Bożego Narodzenia 1950 r., Ojciec św. postawił sprawę jasno: „Czy rzeczywiście odnaleziono grób św. Piotra?” I dał na to odpowiedź nie mniej jasną: „Na takie pytanie wniosek końcowy z przeprowadzonych robót i badań daje odpowiedź jasną i potwierdzającą: tak, grób świętego Apostoła został odnaleziony.” W dalszym ciągu nasuwa się druga kwestia: „Czy znaleziono relikwie Świętego?” „Na brzegu grobu znaleziono szczątki kości ludzkich, nie ma jednak możliwości stwierdzenia, że należały one do szczątków śmiertelnych Apostoła. Nie podważa to jednak historycznej pewności istnienia w tym właśnie miejscu grobu św. Piotra. Olbrzymia kopuła bazyliki nad tym miejscem się wznosi. Grób ten musiał być początkowo bardzo skromny (ze względu na prześladowania chrześcijan), ale część z jaką odnoszono się do niego przez szereg wieków następnych sprawił, że największą świątynię chrześcijańską nad nim wzniesiono.

We wspomnianej wypowiedzi Ojciec św. Pius XII podał również do wiadomości publicznej, że w niedługim czasie wydane zostanie dzieło dokumentarne, podające szczegółowo wyniki przeprowadzonych badań. Roboty prowadzone są dalej i następują też dalsze odkrycia, które niestety wpływają na opóźnienie wydania zapowiadanej i z taką niecierpliwością oczekiwaną oficjalnej publikacji.

Od r. 1935 prowadzone są również roboty podziemne w bazylice św. Jana na Lateranie. Oto parę szczegółów dotyczących dokonanych tu odkryć. Na polecenie papieża Piusa XI przystąpiono w r. 1935 do naprawy posadzki w tejże bazylice. Przy głębszym sondowaniu odkryto mury starożytnego pałacu, możnego niegdyś rodu Lateranich; cesarz Neron karząc ich za udział w spisku przeciwko niemu, skonfiskował im pałac i przeznaczył go na kasarnię dla swych żołnierzy. Na murach tych widnieją dobrze zachowane freski przedstawiające podobizny dzikich zwierząt (Laterani trudnili się bowiem dostawą dzikich zwierząt na igrzyska w amfiteatrach). W jednej z sal przerbionej na kaplicę pogańską znaleziono wiele amfor oraz głowę jakiegoś bóstwa morskiego, z uszami fauna, o twarzy dziwnie przypominającej Mojżesza według słynnej rzeźby Michała Anioła. Znaleziono również kolumnę z napisem ku czci cesarza Septimusa Sewera, datą r. 199, od pretorian konnych.

(Dokończenie na str. 225)

ŹRÓDŁA WIARY

KSIĘGI NOWEGO TESTAMENTU

Orzeczeniem dekretu soboru Trydenckiego do Pisma św. zaliczamy oprócz Ksiąg Starego Testamentu, 27 Ksiąg Nowego Testamentu. One to są głównym źródłem objawienia chrześcijańskiego. Zaliczamy do nich Pięć Ksiąg historycznych tj. Cztery Ewangelie oraz Dzieje Apostolskie świętego Łukasza.

Słowo *E w a n g e l i a*, wzięte jest z języka greckiego, a oznacza „dobrą nowinę”. Ewangelie podają mniej więcej dokładny zarys działalności i życia Pana Jezusa, Jego nauk, które głosił i cudów, którymi potwierdzał prawdziwość swojej Boskiej prawdy.

Dzieje Apostolskie opowiadają o pierwszych wypadkach i dziełach Kościoła, czyli pierwszych gmin chrześcijańskich w Jerozolimie, Antiochii i w Rzymie. W pierwszej części przedstawiają działalność św. Piotra a od rozdziału XIII zajmują się niemal wyłącznie czynami i losem św. Pawła. Całość kończy się sprawozdaniem o uwięzieniu świętego Pawła w Rzymie.

Osobną rubrykę tworzą tak zwane Księgi nauczające złożone z 14 listów św. Pawła i 7 listów innych apostołów: 1 św. Jakuba, 2 św. Piotra, 3 św. Jana oraz 1 św. Judy Tadeusza.

Listy te były pisane do poszczególnych gmin chrześcijańskich lub też do poszczególnych osób. Dla nas są one bogatym skarbem wiary, obyczajów i nauk. Przysłać jednak musimy, że nie mają na celu przedstawienia całości kształtu nauki chrześcijańskiej. Pouczają i zachęcają.

Jedyną Księgą proroczą Nowego Testamentu jest Objawienie św. Jana czyli Apokalipsa. Księga ta zawiera w sobie tajemnicze obrazy widziane przez św. Jana a mające odzwierciedlić przyszłe walki i triumfy Kościoła św.

Tak oto wygląda 27 pism, które są głównymi źródłami objawienia chrześcijańskiego. Są one dla nas skarbem bezcennym. Pozwalają bowiem poznać nam życie i naukę Jezusa. Stąd wartość ich historyczna jest pierwszorzędna. Wprowadzić nie posiadamy dziś oryginałów, ale mamy zato liczne ręczne odpisy. Samych odpisów Ewangelii posiadamy około 2500 w języku greckim. Czerdzieści z nich liczy ponad tysiąc lat starości. Pozwala nam to uzgodnić i ustalić jaki był pierwotny tekst Ewangelii, lub sprawdzić czy dzisiejszy jest sfałszowany albo zniekształcony.

Porównywanie tych odpisów jest niezmiernie ciekawe i pouczające.

Różne są lzy

Był ongiś na ziemi raj, była radość i szczęście. Raj, minął bezpowrotnie. Ziemia stała się padołem płaczu. Z płaczem przychodzi człowiek na świat i ze łzami w oku go żegna. Tak więc lzy są dziedzictwem i przywilejem człowieka. Zbawiciel stał się do nas podobnym we wszystkim za wyjątkiem grzechu. Stąd to widzimy i lzy w oczach Pana Jezusa. Płacze Pan nad zaślepionym miastem Jerozolimą, płacze nad grobem zmarłego przyjaciela Łazarza, płacze — jak mówi legenda — nad zatwardziałym łotrem odrzucającym uparcie ostatnią deskę ratunku.

Dziedzictwem i przywilejem człowieka są lzy, ale różne są lzy.

Są lzy, które wprawdzie płyną z oczu ludzkich, ale trzeba je nazwać łzami piekła, łzami diabelskimi. To lzy wywołane gniewem, namiętnością, bezsilną wściekłością. Takie lzy to lzy hieny, której uszła ofiara. Perłami są lzy ludzkie. Perł nie można wrzucić do piekła. Niech z oczu naszych nie płyną nigdy lzy diabelskie!

Są lzy ziemskie wyciśnięte bólem fizycznym lub miłością.

Gdy człowiek odczuwa silny ból fizyczny, wieje się, kręci i płacze. Jest to objaw naturalny. Trzeba specjalnego wychowania i nadzwyczajnego opanowania, by było inaczej. Podobno dawni Indianie wychowywali tak, by nie uронić ani jednej łezki wśród najcięższego bólu. Stąd Indianin pochwycony przez wrogi szczerp, przybity do pala, skalpelowany, starał się zachować jak głaz, jak zimny posąg. Jesteśmy tylko zwykłymi ludźmi, czasem pod wpływem bólu zjawiają się lzy, umiemy je tylko opanować.

Płakał wielki św. Augustyn po utracie przyjaciela. „Jeden płacz był dla niego pociechą i zastąpił miejsce przyjaciela”. A jeszcze więcej płakał po śmierci swej ukochanej matki. „Zamknąłem oczy jej — pisze sam

w Wyznaniach — a serce moje zalewał niezmierny smutek, który się we lzy rozpylał... Przywodziłem na pamięć sługę Twoją, jej pobożne życie w Tobie, jej święte, łagodne i obyczajne obchodzenie się ze mną, i na myśl, że tak nagle zostałem jej pozbawiony, zbierało mi się na płacz przed obliczem Twoim za nią i po niej, za sobą i po sobie. I puściłem wodzę łzom, które wstrzymywałem: lzy płynęły do woli, poddając się pod władzę serca mego; i uspokoiłem się w nich, ponieważ były tam uszy Twoje, a nie jakiegokolwiek człowieka, wyniosłe tłumaczącego płacz mój.” Płakał wielki św. Augustyn nad zwłokami swej matki. Możemy płakać i my zwykli śmiertelnicy, ale smuć się, nie smućmy się jako ci, którzy nadziei nie mają. Wszelkie rwanie włosów, wycia w niebogłosy dobre są u zawodowych płaczek na bliskim Wschodzie, ale nie u katolików wierzących w żywot wieczny i w ciało zmartwychwstanie.

EWANGELIA

NA DZIEWIĄTĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Św. Łukasz 19, 41—47)

Onego czasu: Gdy się przybliżył Jezus do Jerozolimy i ujrzał miasto, zapłakał nad nim, mówiąc: Gdybyś i ty poznało i właśnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczyma twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twój waleń, i oblegną cię, i ścisną cię zewsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego żeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. I wszedłszy do świątyni, począł wyrzucać sprzedających w niej i kupujących, mówiąc im: Napisane jest, że dom mój jest domem modlitwy, a wyście go uczynili jaskinią zbójców.

I nauczał codziennie w świątyni.

LEKCJA

NA DZIEWIĄTĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(1 Do Koryntian 10, 6—13)

Bracia: Nie pożądamy złego, jako oni pożąдали. I obyście się nie stali bałwochwalcami jak niektórzy z nich, jako napisane jest:

Zasiadł lud, by jeść i pić, i postawszy zaczęli się bawić (Wyjść. 32, 6).

Ani też dopuszczajmy się rozpusty, jak niektórzy z nich rozpustę się dopuścili i legło ich dnia jednego dwadzieścia trzy tysiące. I abyśmy nie kusili Chrystusa, jak niektórzy z nich kusili i poginęli od węzów. Ani nie szemrajcie, jak niektórzy z nich szemrali i zginęli z ręki nieprzyjaciela. A to wszystko działa się im jako figura rzeczy przyszłych i napisane jest ku przestrodze dla nas, którzy żyjemy w tych czasach ostatecznych. Przeto kto mniema, że stoł, niech baczy, aby nie upadł. Pokusa nie jęła się was inna, jeno ludzka, a wierny jest Bóg, który nie dopuści kusić was ponad wasze siły, ale razem z pokusą da też i wyjście, abyście ją przytrzymać mogli.

Są i lzy święte względnie uświęcające. Takie lzy płynęły z oczu nawróconej jawnogrzeźniczki Marii Magdaleny. Takie lzy płynęły z oczu świętego Piotra. On filar trzykrotnie zaparł się Jezusa. Gdy trzeci raz zaparł kogut, wyprowadzono sponiewieranego Zbawiciela, a oczy Piotra spotkały się z oczami Pana. Piotr — jak mówi Ewangelia — gorzko zapłakał. Tradycja starochrześcijańska dodaje, że od tego płaczu powstały na obliczu pierwszego papieża dwie wielkie bruzdy. Takie lzy są świadkami bólu wewnętrznego, a ten znowu jest nieodłącznym towarzyszem żalu, skruchy, odwrócenia się od grzechu, od złej przeszłości. Cenne to lzy. Jak cenne — świadczy stara legenda, według której pewna dusza za pokutę miała się wrócić na ziemię i przynieść stamtąd coś, co ma największą wartość. Przyniosła ostatnie krople krwi żołnierza konającego na polu bitwy z miłości dla ojczyzny. Przyniosła ostatnie lzy młodej narzeczonej, która pielęgnując swego wybrańca dotkniętego zaraźliwą nieuleczalną chorobą sama zachorowała i oddała swe młode życie w ofierze. Wszystko było za małe dla klucznika nieba. Dopiero gdy udało jej się złapać na czarę ostatnie lzy żalu rozbójnika, za którym było zmarnowane i występne życie, wtedy dopiero puszczono ją do nieba. Cenne to lzy, chyba najcenniejsze wśród wszystkich innych. Dlatego o dar takich łez gorąco modlili się wielcy święci. Takie lzy będą ozdobą i naszych oczu.

Ks. Musiel Fr.

Teresa Przanowska

Jak słodko kochać

Jakże jest słodko kochać Ciebie, Panie I klęcząc — szeptać Ci słowa miłości. Dziękować Ci kornie za Twe miłowanie, Którego nigdy nie szczędzisz ludzkości...

Jak błogo klęczeć przed Tobą w kościele Wierząc, że czuwasz i że jesteś żywy. A my Ci dajemy czasu tak niewiele Tobie, coś Ojcem i Bogiem prawdziwym...

Otwierasz dla nas Swoje Boskie Serce, Wskazujesz przystań jedyną na świecie. A my, miast szukać ratunku w rozterce, Jak liść jesteśmy — co wicher go miecie...

Zamiast do Ciebie przyjść, do Serca Twego, Szukamy wokół siebie ukojenia. Ty ciągle czekasz i wskazujesz ciągle, Jedyne źródło szczęścia i zbawienia...

O jakże słodko kochać Panie, Ciebie I klęcząc, oddać Tobie swoją wolę, I pragnąc z Tobą żyć tutaj i w niebie — Przyjmując kornie jaką ześlesz dole...

Odkrycia archeologiczne

w podziemiach bazylik św. Piotra i św. Jana (Dokończenie ze str. 224)

Ostatnia wojna osłabiła rytm robót odkrywczych. Ojciec św. uważa za rzecz pilniejszą odbudowę świątyni zniszczonych wskutek wojny, niż odkopywanie zabytków historycznych. Niemniej zwiedzający mogą już dziś zejść głęboko w podziemia bazylik św. Jana, by ujrzeć według biegu historii: mury pałacu senatorskiego rodu Lateranich, kasarni Nerona, świątyni pogańskiej, pierwotnej bazyliki Konstantyna... I przed oczyma ich odżywiają wspomnienia świetności starożytnego Rzymu, potęgi i okrutnego despotyzmu cesarów, dumnych i odważnych pretorian, tłumów gnębionych niewolników, licznych rzesz pierwszych chrześcijan schodzących się skrycie w podziemiach, by słuchać nauk świętych Apostołów.

P o m a t u r z e

Świat stanął w najpiękniejszym, majowym rozkwicie, gdy młodzież wszystkich szkół zasiadała do matury.

Młode serca przeżywały różnorodne uczucia. Była w nich i trwoźna radość, że oto przyszła chwila gdy będzie można wykazać pewien ułamek wiedzy, którą się nagromadziło przez lata nauki, był i lęk, nieodłączny przyjaciel matur, ale nad tym wszystkim górowało uczucie, że dnia tego ani tych chwil nie odłożyłoby się za nic i nigdy, ponieważ od lęku, radości czy strachu — silniejsze jest pragnienie wyjścia ze szkoły na szersze przestrzenie, w świat, w tempo, w rozmach, w dynamikę współczesnego życia, a przede wszystkim do pójścia na wyższe uczelnie.

Dlatego też nie zdanie matury może być teraz klęską i może nawet załamać psychicznie i odebrać wiarę w siebie młodzieńcowi czy dziewczynie.

Po maturze młodzież niedługo się waha co ma robić. Już od półrocza bowiem ostatniej klasy wybrała sobie dalsze studia i przysięgła zawód.

Obecnie młodzież pod tym względem nie ma żadnych trudności, czekają na nią liczne wyższe uczelnie, czeka pomoc Państwa w postaci stypendiów i wczasów.

Jakże miło jest pomyśleć, że ten żywiołowy pęd do nauki będzie zaspokojony, że nie będzie takich, którzy pragną się uczyć a nie mogą.

Wrota uniwersytetów stoją otwarte a chociaż co roku w nich tłoczniej, przecież ściana się rozstępują.

Ze świadectwem dojrzałości w rękę, staje młody człowiek w zadumaniu przed celem swego dalszego życia.

Ale przyszłość nie jest dla niego tajemnicą. Wie, że na jakąby drogę nauki czy pracy nie wstąpił — pomoc zawsze znajdzie.

Lecz zanim się utworzą przed nim nowe źródła wiedzy i zanim się nauczy z tych źródeł pić, musi czerpać z tych zasobów jakie zaczerpnął w szkole.

I wtedy dopiero wyjdzie na jaw czy pilność była potrzebna, czy wystarczy, że było t. zw. „szczęście”.

Okaże się wówczas, że nie tylko pilność, nie tylko zdobyte wiadomości z zakresu takich czy innych przedmiotów, ale potrzebne są prócz tego tak do życia samodzielnego po zdaniu matury, jak i na wyższe studia — wysokie wartości moralne, bez których nie ma pełnego człowieka.

Wartości te wychowuje w człowieku dom i szkoła, religia, ale przy czynnej jego postawie.

Życie dalej je rozwija lub niszczy, zależy to również od postawy czynnej czy biernej człowieka.

Pod terminem wartości moralnych rozumiemy takie cechy charakteru, które człowiekowi żadnej podłości w życiu uczynić nie pozwolą, które mu podyktują jego stosunek do ludzi i świata, stosunek oparty na miłości Boga, Ojczyzny i człowieka, na poszanowaniu praw wszystkich ludzi na świecie i wspólną z nimi pracę dla powszechnego dobra i sprawiedliwości.

Niechże więc młodzieńcy ludzie razem z maturą, wyniosą te mocne postanowienie oparcia dalszych swoich nauk jak i pracy na mocnych podstawach moralnych, które są rękojmnią nie tylko pracy twórczej i owocnej, ale i trwałego pokoju dla zniekanej ludzkości.

Teresa Przanowska

Szannij to, w co wierzysz!

Zegar na wieży ratuszowej wskazywał godzinę 7,45 minut rano. Przechodnie spieszyli w różnych kierunkach. Z drzwi kościoła stojącego w pobliżu rynku wyszedł mężczyzna w sile wieku. Szybko zbiegł z kamiennych schodów i podążył w kierunku jednego z większych gmachów. Za chwilę siedział już przy swoim biurku. Według swego zwy-

czaju rozpoczynając pracę, przeżegnał się i zaczął rozkładać przed sobą duże arkusze papierów.

Jednocześnie doleciał go czyjś znajomy głos: — Dzień dobry Janku! — Odwrócił głowę i poznawszy przyjaciela odpowiedział mu z ożywieniem: — Dzień dobry, Zygmunt! Cóż tu robisz w naszym biurze? — zapytał, nie przerywając zdania.

— W ostatnim czasie otworzyłem warsztat i załatwiam teraz rozmaite sprawy z tym

związane. Ale słuchajno, Janku; wchodząc do biura, spostrzegłem, jak siadając do pracy, pobożnie się żegnałeś. Rzadko cię widuję, więc nie wiedziałem, że tak odstawiasz duchową osobę. Może jeszcze różaniec ze sobą nosisz? — rzekł ironicznie Zygmunt.

Jan na te słowa spoważniał i patrząc śmiało przyjacielowi w oczy, odpowiedział: — Jeśli ty jesteś także wierzącym, to nie rozumiem dlaczego w ten sposób mówisz... Zresztą w tej chwili nie jest czas na to byśmy o tych rzeczach mówili. Przyjdź do mnie wieczorem, a porozmawiamy sobie o tym nieco swobodniej.

— Doskonale — podchwycił Zygmunt, ratując się w ten sposób z chwilowego zakłopotania, w jakie wprawila go odważna odpowiedź przyjaciela.

Wieczorem obaj znajomi spotkali się w domu Jana.

— Wiesz co, Zygmunt, żdziwiłem się bardzo — rozpoczął spokojnie Jan — słysząc dziś rano takie zdanie przez ciebie wypowiedziane. Nie spodziewałem się tego po tobie.

— Ależ, przyjacielu, zbyt surowo mnie sądzisz — zaczął się bronić Zygmunt. — Jestem katolikiem. Jestem wierzącym. Spełniam zasadnicze obowiązki, których wymaga nasza wiara. A że trochę lekceważąc wyraziłem się o twoich pobożnych praktykach, to przecież nie świadczy jeszcze o mnie tak źle, jak ty uważasz.

— O nie! Wcale cię nie chcę sądzić i potępiać. Ale powiedzmy sobie tak szczerze, Zygmuncie, czy my, jako katolicy, postępujemy we wszystkim konsekwentnie. Nie myślę w tej chwili już tylko o tobie, ale o większości katolików. — Każdy twierdzi, że jest wierzącym, czy nawet praktykującym, ale w jakże wielu wypadkach niejednym z lekceważeniem wyraża się, nawet wprost ośmieszając, to, co jest przedmiotem naszej wiary. Wiara nie wymaga fanatyzmu i przesady, ale jeśli się ją wyznaje, to jednocześnie nie można jej śmieszyć i robić przedmiotem niewłaściwych żartów. — Powiedz sam, czy nie mam racji?

— Tak, to jest zbyt jasne, bym to mógł kwestionować — odpowiedział ze szczerym przekonaniem Zygmunt. — Niestety muszę wyznać, przyznając się równocześnie sam do winy, że tak mało jest zrozumienia wśród nas, katolików, tego podstawowego obowiązku, byśmy przede wszystkim szanowali to, w co wierzymy... (P. S.)

Timotea.

L I P I E C

Pod nieba rozwartą powieką
lipcowe południe rozgorzałe płonie —
złocą się pola — gdzieś niedaleko
tęskna melodia z nad rzeki płynie.

Fale niosą ludzkie tęsknoty,
ukryte w szuwarów szeleście,
lzy sieroce cenne jak klejnoty,
i zagubione po rozłogach szczęście.

Słodka woń z wód głębiny
kładzie na pola krople chłodnej rosy —
melodia kłosów w niebo płynie
i Bóg ją w obłokach słyszy.

Rozgorzały lipiec zda się omdlewa —
zbóż tany leniwie się kołyszą,
chylą gałęzie ciężarne drzewa
lipcową południową ciszą.

Jakaś dostojność wsi cichych
w pyle słońca rozplywa się złotym —
dobrze i cicho — nieba błękitny
błogosławionym plonom obfitym.



ŚW. KAMIL DE LOLLIS

Pierwszy człowiek „Czerwonego Krzyża“

(1550 — 1614)

Niezwykły to był człowiek. Był najburzliwszy z żołnierzy. Wpadł w ostatnią nędzę przez karciarstwo, a potem nabawił się ciężkiej choroby. W późniejszych latach zmienił całkiem tryb życia. Stał się i został na zawsze patronem chorych, szpitali i umierających. Wykazano, że jest on właściwym założycielem Czerwonego Krzyża i że zapoczątkował ambulanse polowe.

Kamil urodził się w Buccianiko (w Abruzzach). Ojciec jego był żołnierzem, którego życie było szeregiem rzezi i grabieży. Ale skończył w takiej nędzy, że synowi zostawił tylko sztylet i miecz. Kamil był także żołnierzem. Gdy tylko zaczął czytać, miał już żylkę karcianą. W wojnie z Turkami popadł w chorobę; wskutek „małego zadrapnięcia“ przyszedł dolegliwości z ropiejącej nogi, której rana nie zagoiła się już do końca życia. W chwili gorzkiego przebudzenia Kamil zobaczył dwóch Kapucynów i — złożył ślub poprawy życia. Dwa razy ślubował i dwa razy nie dotrzymał. Znędzaniały wszedł do szpitala, aby za cenę własnej posługi otrzymać opiekę szpitalną.

Wskutek gwałtowności, kłótni i karciarstwa (spał z kartami pod poduszką i przez karty zaniedbywał chorych) zwolniono go. Wrócił do wojska. Przeżył okropną kampanię turecką — żołnierze zjadali z głodu wycięte z poległych nerki. Kamil jadł tylko koninę i trawę. Dołączył się do oddziału wsławionego grą w karty. Gdy wrócił z obrony Tunisu, zwolniono go w Neapolu, jako na zawsze niezdatnego do służby. Wszystko co mu pozostało postawił na ostatnią kartę: przegrał ostatnią koszulę i ku swemu palącemu upokorzeniu został żebrakiem. Był bardzo rośli i mimo chorej nogi niezwykle silny. Kapucyni dali mu w klasztorze pracę murarską. Przyjął ją, ale obawiał się, że to franciszkańskie otoczenie zmusi go do wypełnienia ślubu, bał się, aby nie „popęłnić“ nawrócenia; straszliwa zima zmusiła go jednak do kapitulacji. W r. 1575, ten człowiek zmarnowanych lat i złamanych ślubów poddaje się ostatecznie. Nie może jednak jeszcze znaleźć swego miejsca. Próbuje raz jeszcze klasztoru, ale przeszkadza mu otwierająca się ponownie rana. Wielką pomocą jest mu teraz w Rzymie Filip Nereusz, założyciel Oratorianów. Ten szczerzy, pogodny, najwyrozumialszy człowiek kieruje ambicje chorego żołnierza do służby chorym w szpitalu. W ten sposób przyczynia się pośrednio do założenia Zakonu „Braci Posługujących Chorym“.

W r. 1582 Kamil zorganizował wkoło siebie ludzi podobnego sobie ducha i postanowił, żeby nosili czerwony krzyż na sukni. Jest to właściwy początek wszystkich późniejszych ruchów czerwono krzyżowych.¹⁾

Uważając za wskazane przyjęcie święceń kapłańskich, Kamil mając lat 32 zaczyna

studia. Kończy szczęśliwie nauki i przyjmuje święcenia.

Zgromadzenie rozwija się szybko i pomysłnie. Roboty jest dosyć. W ziemie ludzie zagrzebywali się dla rozgrzewki w nawozie, w lecie miasto bywało rojem much; z braku wody chorzy pili oliwę z lamp. Kamil przerwywał pracę nocną na godzinę lub dwie i robił materace, aby chorzy nie leżeli w błocie. W pierwszych dniach po nawróceniu słyszy delikatne, lecz wyraźne wołanie Chrystusa: „Tchórz“. Ukłuło go to głęboko. Kamil nie był tchórzem fizycznym. Jako żołnierz był znany ze swej gwałtownej odwagi. W zwalczaniu zła dla Chrystusa był raczej szorstki i wiele żądał od swych towarzyszy, bo i sam od siebie żądał nie mało. Ale jego dobroć i delikatność były niezwykle. Miło było parzeć, jak kąpał i przewijał małe dzieci, lub gotował posiłki dla rekonwalescentów. Jego intuicja i współczucie były mu drugim wzrokiem. Pochylał się nad chorymi, jakby miał im przekazać serce i duszę — pisał jeden z chorych. Nie wiem co więcej zrobić by mogła dla dzieci kochająca matka — pisał inny. Przez 46 lat cierpiał katusze od ropiejącej nogi, cierpiał na kamienie żółciowe i stale nosił pas metalowy. Nie mógł stąpać na stopach; przez ostatnie 30 miesięcy chorował po wszystkim co zjadł. Był tak osłabiony, że rankiem wstać nie mógł, lecz gdy odwiedził pięciu lub sześciu chorych odzyskiwał siły.

Ale nadszedł koniec. Leżał umierający w infirmerii, mówiąc Anioł Pański. Infirmary zapytał go, czy nie wzięby jakiego środka orzeźwiającego — poczekaj jeszcze kwa-

drans, a będę orzeźwiony — powiedział Kamil. Po kwadransie rozkrzyżował ręce i zaczął mówić: „O Krwi Przenajdroższa“ — jakby Krzyż i jego źródło pochłonięły jego umysł; pochwalił najświętsze Imię Boże — i umarł bez drgnienia, bez najmniejszej zmiany w twarzy, wyglądając wciąż jasno i pogodnie.

Na zakończenie chcę wyjaśnić dwie sprawy. Kamil jest prekursorem Czerwonego Krzyża, założycielem ambulansów polowych i stacji opatrunkowych. Myśląc o krzyżowcach, wybrał czerwony krzyż jako odznakę swego zakonu i swego dzieła. W latach 1595—1601 papież Klemens wysłał oficjalnie Kamilianów z pomocą rannym i umierającym na polu bitwy: mieli znosić ich za linię frontu, urządzać szpitale, przygotowywać lekarstwa i materiały sanitarne. Możemy złożyć uznanie księżce Dunanta: „Wspomnienia o Solferino“. Pamiętamy jego zasługę w doprowadzeniu do umowy międzynarodowej w sprawie ambulansu. Ale nie możemy też zapomnieć o Kamiliu i jego braciach, którzy uprzedzili te prace w daleko mniej filantropijnych czasach. Uczynili to — i to jest druga sprawa, którą chcę podkreślić, dla Chrystusa, na Jego wyraźny nakaz opiekowania się chorymi. W Imię Chrystusa pracował Kamil z bezprzykładną energią przez lat 40, sam w śmiertelnym bólu, nie szukający uznania, kariery lub zapłaty, a wiodący przy tym życie osobiste — modlitwy, pokuty i ubóstwa. Kto doświadczył dobroci z rąk lekarzy, pielęgniarek w szpitalu lub w domu — myśli o nich z szacunkiem.

Widziałem Katedrę wrocławską

Pędzący z Poznania pociąg przystanął przed stacją Wrocław-Osobowice.

— Ach, to już Wrocław — istotnie, na horyzoncie ukazały się wieże kościołów, a bliżej las spalonych domów, kupy rumowisk. Zbieram się do wysiadania.

— Niech się pan nie spieszy — mówi nieporuszona sympatyczna studentka Wrocławskiego Uniwersytetu udzielająca mi od Rawicza wstępnych informacji o stolicy Dolnego Śląska.

— Jeszcze mamy dwa przystanki do Głównego, ponad 10 minut drogi. Wrocław jest miastem bardzo rozległym, w niektórych kierunkach rozciąga się na przestrzeni ponad 30 km.

— Niech mi pani powie, co mam przede wszystkim zwiedzić w ciągu tych kilku godzin, które mam do dyspozycji?

— Sądzę, że logicznie pan uczyni, jeżeli skieruje swe kroki do Wrocławskiej Katedry. To przecież matka miasta i matka kościołów dolnośląskich.

— A ile kościołów liczy Wrocław?

— Trudno mi dokładnie powiedzieć, ale wiem, że więcej niż 50. Czynnych kościołów jest ponad 30 nie licząc kaplic.

— W jakim stanie znajduje się Katedra?

— Odradza się wraz z całym miastem i Dolnym Śląskiem. Katedra była tak zrujnowana przez wybuch amunicji złożonej przez hitlerowców w jej murach, że podnosiła się na początku głosy, by jej odbudowę zostawić następnym pokoleniom. Władze kościelne postanowiły jednak podnieść ją

z ruin. Oczywiście, chodziło tutaj nie tylko o względy religijne, lecz i narodowe.

— Rozumiem. — Katedra Wrocławska jest najcenniejszym pomnikiem i dowodem polskiej przeszłości miasta. Chodziło także



Katedra przed wojną.

¹⁾ Dla ścisłości dodać należy, że początek akcji opieki nad chorymi i rannymi zaczyna się od Zakonu Johannitów, istniejących po „dzis dzień“ jako „Zakon Maltański“. W r. 1048 założyli oni szpital i rozpoczęli opiekę nad chorymi i rannymi podczas wojny w Palestynie. Szpital Maltański w Warszawie w okresie 1939—1944 r. jest wyrazem tej akcji, prowadzonej po dzis dzień przez Zakon Kawalerów Maltańskich, a raczej przez „Suwerenny, Rycerski Zakon św. Jana Jerozolimskiego, zwany Maltańskim“.

o podkreślenie, że przybyliśmy do Wrocławia nie na czasowy, lecz na stały pobyt.

Ogarnia mnie coraz większe uczucie ciekawości i jakiejś czułości do tego pomnika, którego fundamenty zakładał król Bolesław Chrobry — 950 lat temu...

Cofnięty duszą w daleką przeszłość nie przyjrzałem się dobrze ciemnym licom Odry, którą poślą przesadził w kilku potężnych susach nie zwalniając wcale biegu, ani rozległym dzielnicom rumowisk wśród których widnieją już odnowione i nowe kamienice, dymiące kominy fabryk i liczne kępy zieleni.

— Jedziemy przez najbardziej zniszczone dzielnice południowo-zachodnie — rzuca uwagę moja informatorka.

— Wrocław Główny!... Majestatyczny, okazały, odnowiony dworzec — chyba największy w Polsce. Dziękuję pośpiesznie swej towarzysze podróży za wstępne informacje i wiadam przed dworcem do taksówki.

— Katedra!

Jedziemy ulicami śmiertelnie okaleczonymi — Kollataja, Skargi, Św. Katarzyny, Św. Jadwigi, mijamy kilka kościołów, przejeżdżamy dwa mosty i wjeżdżamy na Katedrałną, aż u wylotu ulicy staje przed nami olbrzym, wyciągający dwa pojęzyczne ramiona ku niebu.

Oto Katedra — serce polskiego Wrocławia. Pierwsze wrażenie — ogrom budowli... Drugie wrażenie — cisza śmierci w wieżach — szerniała cegła, puste oczodoły okien...

Zato przed wspaniałym koronkowym portalem — wre życie. Wśród potężnych bloków kamiennych uwijają się robotnicy. — Mierzą, kują, dźwigają... Wchodzę nieśmiało do wnętrza — widok wspaniały... Nade mną nowe, wyniosłe, dumne sklepienie gotyckie, z boków prezentują swoją odmłodzoną starość czerwone gotyckie ściany okolone girlandami niewiedzących, bo z kamienia wykutych wieńców... przez duże niezastłonięte

jeszcze witrażami okna wlewają się potoki światła. Majestatyczna świątynia... Nawa główna u góry i po bokach już odnowiona. Teraz kipi praca na dole i w bocznych nawach. Łomot rzucanych desek, stukot młotów, szurkot łopat, brzęk stalowych dźwąg tworzą dziwną muzykę pracy.

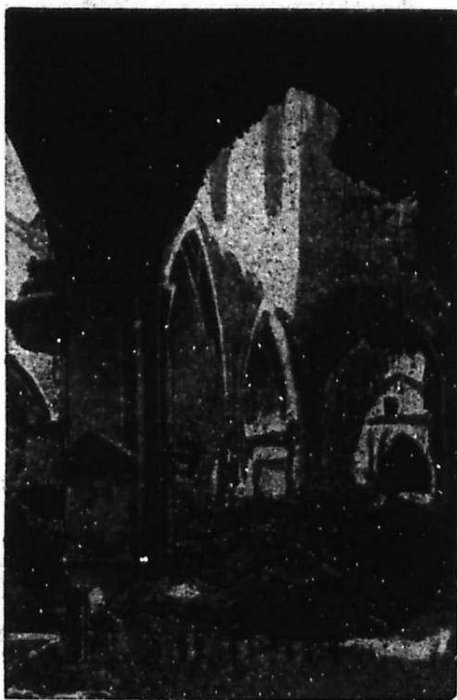
Przed prezbiterium olbrzymi dół. Jak mnie informuje robotnik — odkopano tutaj fundamenty Katedry w stylu romańskim z XII wieku. Zbudowali ją polscy biskupi na miejscu najstarszej Katedry drewnianej, która spłonęła w czasie rozruchów pogańskich po śmierci Bolesława Chrobrego.

W XIII wieku rozpoczęto budowę obecnej katedry w stylu gotyckim, który stanowi zasadniczą strukturę obecnej świątyni.

Spotykam kierownika robót.

— Co tutaj zrobiono od początku robót restauracyjnych?

— Widzę, że pan się bardzo śpieszy, proszę choć o parę krótkich informacji.



Wnętrze katedry zaraz po wojnie.

PRZECZYTAJ I ZASTANÓW SIĘ...

„Czy zwróciłeś, mój Przyjacielu, uwagę, że nauka Chrystusa jest jednakowo dobra dla wszystkich? że każdy zdoła ją pojąć, jeśli zechce: małe dziecko, analfabeta, dzikus z dżungli, uczonec, filozof, polityk, artysta — każdy. Nikt dotąd jej nie wyczerpał, nie doszedł do dna. Uważają ją za powierzchowną i płytką tylko ci, co jej nie znają, lub nią nie żyją. Jest jakaś pełnia w tej nauce, pełnia, której największy umysł nie ogarnie. A jednak zdoła ją każdy, dosłownie każdy, nawet upośledzony, nawet przygłupek. Zdoła ją żyć nieraz pełniej i pojmować głębiej, niż ten, kto ją studiuje, lecz nią nie żyje. To jest fakt obserwowany tyśiąckroć. Nie mogę zaprzeczać faktom, mój Przyjacielu. Nie mogę zaprzeczać temu, co istnieje. Nie mogę zaprzeczyć ponadludzkim cechom katolicyzmu.”

Antoni Gołubiew
(z pracy: „Dlaczego jestem katolikiem”)

— Z wojny zostały tylko osmolone, pokalone ściany i kupy rumowisk, a teraz widzi pan... Zrobiliśmy wiele — dach, sklepienie, zamurowaliśmy wyrwy w ścianach, wykuliśmy z kamienia ramy okien, ornamenty i wiele innych prac wykonaliśmy. Obecnie porządkujemy dół nawy głównej, — urządzamy wielki ołtarz, układamy posadzkę, odnowiamy boczne nawy, no i montujemy wielkie organy...

Ks. Wikariusz Kapitulny chce w najbliższym czasie dokonać otwarcia Katedry. Robota wre — tylko z finansami trudno. Poszły miliony złotych z subwencji Rządu i z ofiar wiernych, ale jeszcze trzeba wiele. Kosztorys najpilniejszych robót przewiduje: 400 tysięcy zł na posadzkę, 100 tysięcy zł na organy, a do tego opłata robotników i inne wydatki pochłoną ogromne sumy.

— Tak, istotnie — to wielkie sumy, ale sprawa odbudowy Katedry — to sprawa i honor wszystkich Polaków — nie samego Dolnego Śląska. Jeśliby tylko 2 miliony Polaków ofiarowało po 1 zł na odbudowę Katedry Wrocławskiej — robota nie uległaby zahamowaniu.

— Jeszcze jedno pytanie — jaką długość ma Wrocławska Katedra?

— Około 90 m.

— A ile może pomieścić ludzi?

— Trudno mi określić, bo oprócz trzech olbrzymich naw, Katedra posiada 19 kaplic i trzy zakrystie; w każdym razie z pewnością więcej niż 6.000 osób.

— Dziękuję panu. Szczęść Boże w dalszym trudzie. Będziemy się starali, by z powodu braku funduszy nie przerwano pracy. Katedra ta — to istotnie godny pomnik naszej religii i naszej przeszłości historycznej. Toteż wszyscy Polacy winni wziąć udział w podniesieniu go do dawnej świetności. Warto Katedrę zwiedzić, a trzeba choć grosz wdowi złożyć na jej odbudowę. Konto P. K. O. Nr VIII — 115/113 Kuria Arcybiskupia — Wrocław.

Aleksander Zienkiewicz.



Wnętrze katedry po odremontowaniu.

Wrocław:

katedra i pałac arcybiskupi po wojnie.

OFIARA KRÓLOWEJ

Duszno było w „kazimierzowskiej” komnacie wawelskiego zamku w to lipcowe popołudnie 1385 roku. Nie splekota letnia atoli była tej duszności przyczyną, lecz słowa nieubłagane, jak wyrok losu nieodparte, które w tych murach kamiennych, gotyckim stropem nakrytych, z ust panów koronnych padały wobec młodzistkiej królowej.

Jadwiga siedziała na rzeźbionym karle zdrewniałym, z gardłem ściśniętym, całą uwagę skupiając na panowaniu nad sobą i wstrzymywaniu uparcie cisnących się łez. Na poblady, anielskiej piękności obliczu 12-letniego dziecka lśniły wielkie, niebieskie oczy o zdumiewającej głębi — oczy dojrzałej kobiety. Zmagając się z płaczem, utkwiała je w samotnym filarze-zworniku, z którego w pośrodku komnaty wybijały jak liście palmy strzeliste ostrołuki sklepienia. Zdawała sobie sprawę, dlaczego przewidziano ją tu właśnie, gdzie przed 15 laty król Jan Kazimierz Wielki wydał ostatnie tchnienie. Przypomnieć jej chciało, że jest wnuczką siostry ostatniego z Piastów i dziedziczką tego tronu, że jest jedynym zwornikiem, na którym budowa królestwa polskiego się opiera.

Jedni po drugich głos zabierali, do jednego atoli zmierzając. I kasztelan krakowski Dobiesław z Kurozwęk i Dymitr z Goraja i biskup-kancelarz Jan Radlica i wojewoda sandomierski Jan z Tarnowa i kasztelan wojnicki Jaśko Topór z Tęczyna i kanonik Piotr Wysz. Ze na poselstwo Jagiełło, które w styczniu jeszcze książowie Skirgiełło i Borys ze starostą wileńskim Hanką do Krakowa i Budy sprawowali, ostateczną odpowiedź czas wysłać i układ wiekopomny na pergaminie spisać. Sprawa jest najwyższej wagi i sam papież Urban VI ją popiera. Chodzi o pozyskanie dla wiary świętej ostatniego pogańskiego narodu, jaki jeszcze u granic północno-wschodnich Korony Polskiej pozostał. Bez przelania kropli krwi spełnić się ma cud, którego zakon krzyżacki przez półtora wieku mieczem wywojować nie zdołał. Wielki książę Jagiełło ochrzcić się z narodem swoim i ziemię litewsko-ruską do Korony Polskiej włączyć obiecuje, jeśli go tylko królowa za małżonką swego przyjmie. Dla tak wielkiej sprawy godzi się, by umowa zrękowinowa, przez króla-ojca Ludwika i królową-matkę Elżbietę przed 7 laty w Hainburgu z domem rakuskim zawarta, zerwana teraz została, za co odszkodowanie słuszne dla Rakuszan w sumie 200.000 florenów u księcia Jagiełły uzyskać będzie można. Oto jutro z pierwszym braskiem dnia wyruszy z Wawelu poselstwo w osobach cześnika krakowskiego Włodka z Ogrodzieńca, kasztelana zawchojskiego Mikołaja z Ossolina i rządcy kazimierskiego Krystyna z Ostrowa. Tym zaś towarzyszyć będą posłowie węgierscy królowej-matki: proboszcz chanadyeński Stefan i kasztelan z Potok Władysław, syn Kakasa de Kaza. Wszyscy oni spotkają się w pogranicznym grodzie Krewie z wielkim księciem Jagiełłą, w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Posłowie ci byli obecni w komnacie i koło przyklepali przed Jadwigą dla ucałowania jej ręki. Królowa wiedziała, że dając im rękę, zatwierdza tym samym poselstwo i udziela im pełnomocnictwa. Nie była jednak zdolna stawić w tej chwili oporu. Obewładnił ją widok posłów węgierskich, posłów matki, tej samej, co przed 7 laty błogosławiła w Hainburgu jej zrękowinom z Wilhelmem.

Czuła się straszliwie samotną, opuszczoną przez wszystkich, bezradną. Żaden z tych panów koronnych, którzy stali przed nią

z czcią i miłością na twarzach, a tak okrutnie szczęście jej deptali, nie zdawał sobie sprawy, co ona teraz w duszy swej przeżywa. Chyba jeden Spytko z Melsztyna, młodociany wojewoda krakowski, odgadł coś niecoś, bo posłał jej współczujące spojrzenie, ale przez cały czas uroczystego posłuchania nie odezwał się nawet słowem.

Gdy dostojnicy królestwa opuścili z posłami komnatę, nie mogła opanować się dłużej. Gdy obstały ją panny dworskie i nadeszła ochmistrzyni Ofka, wymknęła się im na schody. Nie zatrzymując się nigdzie, dotarła do ulubionej, małej komnatki na „Kurzej Stopce” i tam padła z płaczem na klęcznik przed krucyfiksem, Bogu zanosząc ból swój i skargę.

— Chryste Ukrzyżowany! — modliła się żarliwie. — Zalim niegodna pociechy? Oddał nieszczęście ode mnie, którego sił nie mam dźwigać! Natchnij stryja mego Opolczyka, którego ojcu wiernie służył, by przybył mi teraz z pomocą! A jeśli wola Twoja mojej się sprzeciwi, ukaż mi, co mam czynić, i sił dodaj, bym mogła pełnić wolę Twoją!

Władysław książę opolski był bratem ciotecznym ojca Jadwigi, króla Węgier i Polski Ludwika. Więcej przebywał w Budzie niż



Kościół Mariacki w Krakowie

w Opolu, a będąc członkiem obrotnym, oddał dynastii andegawieńskiej bardzo znaczne usługi. Jako palatyn królestwa Węgier pośredniczył w układach z Habsburgami o małżeństwo Jadwigi z Wilhelmem. Później jako wielkorządca Ludwika na Rusi Czerwonej podniósł wspaniale ten kraj przy pomocy swoich Słazaków. W nagrodę za to otrzymał od Ludwika ziemię wieluniąską, graniczącą z księstwem opolskim. Na tej ziemi ufundował klasztor w Częstochowie, gdzie umieścił sprowadzony ze wschodu obraz Bogarodzicy, rzekomo przez św. Łukasza na stole malowany, ze śladami cięć szabli tatarskiej.

Tego to Opolczyka wyglądała Jadwiga jako ostatniej nadziei ratunku, choć duszę jej zalewało wątplenie. Czy będzie on

wiernie stał na straży układu, do którego zawarcia sam znacznie się przyczynił? Czy już raz nie próbował go zdradzić? Czyż po śmierci jej ojca nie zbliżył się do Ziemowita mazowieckiego, z siostrą jego Agatą się żeniąc? A przecie ów Ziemowit zamach wówczas gotował na nią samą, Jadwigę, by ją w drodze do Krakowa porwać, do małżeństwa z sobą przymusić i — pozyskawszy arcybiskupa Bodzantę — z nią razem się koronować! Ziemowit został — na szczęście — pobity, lecz zapisał Opolczykowi Kujawy i Dobrzyń. Czy można takiemu zaufać, że ją przed Jagiełłą ocali?

Strach przed wielkim kniazem Litwy opanował jej duszę dziecięcą. Wszak miała dopiero lat 12, gdy on, Jagiełło, był już po czterdziestce i miał w pogaństwie niejedną chyba żonę. W wyobraźni subtelnej wychowanki jednego z pierwszych dworów Europy zarysował się on jako barbarzyńca, okrutny i dziki, z rękami splamionymi krwią stryja swego Kiejstuta i żony jego Biruty. Jakżeż innym był Wilhelm, którego obraz został jej w pamięci z wczesnego dzieciństwa! Bliższy jej latami, jakże miłym był towarzyszem zabaw. Nie mogła zapomnieć, jak na zrękowinach w Hainburgu, gdy miała lat pięć, tańczyła z nim na oczach obu dworów — czardasza. Jakże ją za to ojciec Wilhelma, książę Leopold, uścił i na rękach nosił. Gdzie są te czasy? Jakże je wydrzeć z pamięci, skoro przez siedem lat żyła się z myślą, że Wilhelmu poślubiona będzie, gdy do lat swoich dojdzie! Jakże to teraz przekreślić, jak wygnąć z serca i z duszy?

Dni upływały jej w męce...

Aż wreszcie pewnego sierpniowego wieczoru — w ten sam dzień, w którym posłowie krakowscy odbierali na grodziszczu krewskim z rąk Jagiełły pergamin z jego uroczystymi zobowiązaniami — doniesiono królowej, że przybył z licznym pocztem książę opolski Władysław.

Jadwiga klasnęła w dłonie, a potem z bijącym sercem udała się do komnaty, w której oczekiwał ją Opolczyk. Brat cioteczny jej ojca posunął się w lecach od ostatniego widzenia, lecz miał tę samą nieodgadnioną twarz polityka i dyplomaty, która cechowała go zawsze. Skłoniwszy się ceremonialnie królowej, oznajmił jej, że prosi o posłuchanie poufne. Gdy odprawiła pazów i dworci, ozwał się głosem siłunionym, jakby się lękał podśluchu:

— Przybywam z Budy, od królowej-matki waszej, miłościwa pan! Zali dochowujecie wiary ślubom złożonym w Hainburgu?

— Och, stryju! — wybuchnęła Jadwiga. — Ratujcie mnie przed Jagiełłą!

— Po to właśnie tu jestem. Książę Leopold słysząc, co się u was dzieje, sam podążył do Budy z zadaniem dotrzymania układu i ręki waszej dla syna. Królowa-matka, królowa Maria, kardynał Dymitr, palatyn Garai i ja postanowiliśmy, by oblubieniec wszedł w swoje prawa małżeńskie, zanim posły wasze z Litwy powrócą.

— Jakóż to możliwe?

— Jutro jest święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny! Udacie się, miłościwa pani, zwyczajnie na Mszę do franciszkanów, a tam już czekać będzie oblubieniec z biskupem poznańskim, moim bratankiem Janem.

Jadwiga była wstrząśnięta.

— Zali Wilhelm jest w Krakowie? — zapytała prawie bez tchu.

Opolczyk klasnął w dłoń. Do komnaty wszedł jeden z przybyłych z nim dworzan i skłonił się przed królową głęboko. Gdy następnie wyprostował się i odrzucił na ramiona jasne, trefione włosy, poznała królowa w dorodnym młodzieńcu — swego narzeczonego Wilhelma.

Książę rakuski nie rzekł ani słowa. Stał urzeczony pięknoscią królowej, którą pamiętał 5-letnim dzieckiem, i patrzył na nią wzrokiem, w którym jarzyła się miłość.

Jadwiga płonąć dziewiczym rumieńcem, patrzyła nań także. W sercu jej, przygotowanym od lat na wielkie uczucie, wybuchło ono teraz z nieodpartą siłą.

Noc całą spędziła na modlitwie. Raz jeszcze błagała Pana Zastępów o znak, czy dobrze czyni, idąc za głosem serca.

Nazajutrz kazała się ubrać dworem w białą atlasową suknię, na której wszystkie były złotem lilie andegawskie. Zdecydowała się opuścić zamek w orszaku księcia opolskiego. Jedno tylko w jego planie budziło w niej zastrzeżenie, że ślub jej pobłogosławić miał krewiak stryjowski, Jan zwany kropidłem, który nie cieszył się dobrą opinią od czasu, jak zajął zbrojnie stolicę biskupią. Dobrogostowi wcześniej przeznaczoną. Ale w tej chwili nie było innego zastępcy.

Ledwo jednak — uzbroiwszy się w topór — wyszła na dziedziniec, gdzie czekali ją opolscy, zabiegli jej drogę Dymitr z Goraja i kasztelan Dobiesław z Kurozwęk. Wiedzieli już wszystko, odkrywając Wilhelma w klasztorze. Dymitr pierwszy padł przed nią na kolana:

— Na rany Krysta zaklinam cię, pani! Nie zmieniaj bożych wyroków! Wszak ciebie wybrał Bóg, byś dla wiary świętej zyskała pogański naród!

— I Koronę Polską wieczystą okryła chwałą! — dorzucił Dobiesław z Kurozwęk.

W tejże chwili zbliżył się ku nim książę Władysław opolski z kanclerzem Janem Radlicą. Jadwiga spojrzała na niego, jakby szukała ratunku. Lecz Opolczyk, który widocznie już przedtem rozmawiał z panami, skłonił się tylko i rzekł:

— Miłościwa pani! Nie jest w mocy ludzkiej woli bożej się sprzeciwić. Schylamy przed nią głowy ja i książę Wilhelm.

Był to dla Jadwigi grom z jasnego nieba. Topór wypadł jej z dłoni. Zbladła straszliwie i zachwiała się, aż pochwyciły ją dworci ze strachu, że zemdleje. Lecz królowa opanowała się zaraz i skinąwszy stryjowi i dostojnikom głową, wróciła do swoich komnat.

Noc już była głęboka i zamek cały spał, gdy do mrocznej katedry wśliznęła się przejęciem, łącząc komnaty królewskie z świątynią, smukła, żałobna postać niewieścia. Nikły blask miesięcznego światła wdzierał się górą i kładł srebrne plamy, pełzające po ścianach naw. Ciemna postać podeszła ku ołtarzowi u końca lewej nawy, który na tle białych ścian wydawał się całkiem czarny, i uklękła na kamiennym stopniu. Zrazu w ciszy niezmałoczonej słyszał było bolesne łkanie, które trwało dłuższą chwilę, a gdy ucichło — z duszy i serca klęczącej popłynął w górę szep:

— Panie Jezu Kryste, Tyś krew swą najświętszą wylał na cały rodzaj ludzki, zatem i za tych, co w mrokach pogaństwa żywią. Przebaczone mi tedy grzeszne, iż szczęściem ziemskim zaślepiona, płon krwi Twej zmarnować chciałam. Przyjmij, Panie, w ofierze serce moje, które dziś dla chwały Twojej się poświęca. Wyrzekam się świata i wszelkich jego uciech, wyrzekam się ziemskiej miłości... Zwól mi, Panie, w ślady Twoje kroczyć, wolę Twoją pełnić, chwałę Imienia

Twego głosić i przejść przez życie, dobrze ludziom czyniąc. Dopomóż mi, Panie, spełnić ślub, który przed krzyżem Twoim czynię...

Gdy domawiała ostatnie słowa, blask księżycowy osrebrzył ciemną głowę w cieniowej koronie, która wynurzyła się z mroków ołtarza. I oto z wyżyn czarnego krzyża popłynął ku klęczącej boski głos Zbawiciela:

— Błogosławiona bądź, córko, iżś sama

S. Grzybowski

ŁUDZIE - ŻLITUJCIE SIĘ!

Pisanie nie jest słodką rzeczą. Co nie, to nie. Wiem już o tym dobrze. Z początku sądziłem inaczej. Dziś wiem czym pachnie interes.

Najgorzej pisać kronikę. Nie radzę nikomu. Ja wpadłem w ten cały interes z kroniką. Oczywiście wszystkiemu winien Ks. Redaktor. Już ze dwa lata wiercił mi dziurę w głowie za tę kronikę. Bronilem się jak mogłem. Dziś pojmuję, że to bronila się we mnie natura, mająca psi węch naprzód i psie wyczucie smaku. Ale Redaktor swoje:

— Pisz Grzybowski kronikę i pisz. Nie mam nikogo, któryby to pisał. A pożyteczna to rzecz — przekonywał spryciarz. — Ludziska czytają o sobie, radują się, że się o nich pisze, biorą Tygodnik chętniej do ręki. Pisz Grzybowski.

Tak się to niewinnie zaczęło. Zaczęłam pisać. Wielkie rzeczy, myślałem. Trzeba, to pisać. Co by nie. Nie święci garnki lepią.

Machnąłem coś o jednej i drugiej parafii. Byłem zadowolony. Będą czytali ludziska o sobie, przysłuży się dobrej sprawie.

Co za naiwność.

Oprzytomniałem prędko. Tu i tam trząsnęto mnie w łeb. I mocno. Całe szczęście, że mam twardej. Inaczej nie wytrzymałby.

— Ty, Grzybowski — pyta mnie jeden z czytelników, co ci tam dali za wazelinę.

— Za jaką wazelinę? — pytam nie rozumiejąc.

— Że tak chwaliś tamtego proboszcza i jego parafian. Uważaj, zbankrutujesz, wazelina dzisiaj droga, a ty nią tak szafujesz, zabraknie ci na końcu.

— Nie ma obawy — odpowiadam — daję każdemu, co mu się należy. Prawda nie jest wazeliną.

Uśmiechnął się z politowaniem.

— Dali ci przynajmniej za to dobry obiad?

— Za obiady nie chwałę nikogo.

— Więc za co?

Miałem dosyć.

— Widzę, że zazdrość.

Oburzył się. Coś mruknął pod nosem. Nie rozumiałem słów, ale pojąłem treść. Brzmiało to jak cymbał, czy coś w tym guście.

Zaczęłam badać sprawę wazeliny. Rzeczywiście produkt dosyć trudny do nabycia, zwłaszcza ta, w lepszym gatunku.

Nie poczuwałem się do niczego, ale żeby złośliwi nie posądzali, zacząłem dawnować sobie.

Nie pomaga. Zawsze coś koinuś się nie podoba.

— Grzybowski, nie masz wyczucia za grosz, gdzie, co i komu. Tam przesadziłeś. Ten taki zasłużony, tyle zrobił i mało. Człowiecze, myśleć. Kronika, to nie widły. Tu trzeba inteligencji.

Następną parafię podlałem wazeliną. Może już dogodzi.

Na nic. Parafianie byli zadowoleni. Sąsiednia parafia wystosowała do mnie pismo, że w tym wszystkim czuć wyraźną przesadę i że to wszystko raczej odnosiłoby się do nich. Zresztą, co ja sobie myślę, że ja o nich nie piszę. Warci są tego, żeby świat coś o nich wiedział i czytał.

Pojechałem, zobaczyłem, napisałem. W odpowiedzi przyszło pismo z pogrozkami.

zwyciężyła siebie. Przyjęła ofiarę twoją. Dana ci będzie moc dokonania dzieła, o którym wieki nie zapomną. Wstań i idź w pokój!

Królowa padła w proch przed Panem i trwała jeszcze w dziękczynnym zachwyceniu. Gdy wstała, by wrócić do komnat, promieniała już blaskiem nieziemskim, który nadwiedził jej duszę.

Kazimierz Golba

I dogódź tu komu człowiecze. Ale to nie wszystko jeszcze. Wspomniałem już kiedyś o parafii Szczecin-Niebuszewo. Akurat atakowano mnie przedtem za oschłość w stylu, przy pisaniu kronik, za chropowatość języka, za grubość myśli.

— Poprawię się — myślę. — Zacznę od Niebuszewa. Umoczyłem pióro i napisałem: „Liczna to parafia“. Zatrzymałem się, przeczytałem raz drugi: Dobrze będzie. Przymiotnik gładki, myśl nie gruba, treść głęboka. Po tym zdaniu poszły inne równie gładkie we formie, i nie oschle w brzmieniu. Będzie dobrze.

Po otrzymaniu numeru z drukarni, kiedy rzuciłem okiem na artykuł, zbladłem. Ręce poczęły mi drżeć. Czytam przecież: „Licha to parafia“.

— O, Boże, — jęknąłem głucho. — Co będzie teraz? Na dodatek proboszcz Niebuszewa, to mój dobry znajomy. Jak spojrzę mu w oczy?

Pech chciał, że go za kilka dni spotkał. Ani nie było bocznej ulicy, w którą mógłbym skrócić.

Spojrzał na mnie chłodno i oschle. Ledwie dostrzegł. Chciałem coś mówić, w gardle zrobiło się sucho, język się mieszał.

I pisz tu kronikę.

Albo taka sprawa. Napisało się coś o którejś parafii. Pracują z rozmachem, proboszcz szanowany, sądziłem, że będzie dobrze. Wszakże nie, nie dogodzi się nigdy nikomu. Spotykałem proboszcza.

— To ty, Grzybowski, piszesz te kroniki o parafiach?

— Niby ja — wiedział, że ja, więc trudno przeczyć, zresztą sądziłem, że zadowolony.

— Uważaj człowiecze, bo niesmacznie się czyta.

— Niby co? — Jęknąłem głucho.

— Co parę słów czytam o sobie: Czcigodny Ksiądz Kanonik, Czcigodny Ksiądz Kanonik. Coś z 10 razy. To niesmaczne. Widzisz człowieku, kronikę trzeba pisać ze smakiem. Młdo się robi człowiekowi, gdy się czyta twoje grzyzmoły. Taką sprawę Redakcja powinna powierzyć komuś z talentem.

— Jakoś potem spotykam innego z proboszczów. Pracuje niczego, napisałem o wszystkim, do rzeczy. Widzę, że jest skrzywiony. Co by to było — myślę. — Napewno kronika. Człowiek przez nią będzie miał tylko wrogów. Biegnę do domu, czytam jak najdokładniej. Oczywiście, znalazłem. W moją kronikę jakiś diabeł się miesza. Nawet, jeśli ja wszystko zrobię jak należy, on coś pokręci. Czytam jak najwyraźniej, że niby on, proboszcz, prowadzi dalej pracę jako zastępca... Tu sęk. Miałoby być następcą. Ma rację, co mają o nim opisywać po gazetach, jest niby czymś zastępcą, gdy jest udzielonym proboszczem.

Jakoś zaraz potem dostałem list z Bobrowic. List dyszy zdenierowaniem pod adresem tego jakiegoś „G“, który o ich proboszczu, znanym w całej diecezji i szanowanym powszechnie, a noszącym jak wszystkim wiadomo nazwisko: Ks. Jan Zak, pisze jako o jakimś Żuku. To rzecz nieprzy-

stoja i niegodziwa, niegodna łamów dobrze szanującego się pisma, wyzywać ich księdza Żukiem. Żeby inaczej, ale „Żukiem“, takim zwyczajnym „Żukiem“, Skandal.

Blady, badam sprawę. Mają parafianie rację. Stoi Ks. Jan Żuk, gdy ma być. Ks. Jan Żuk... O, nieszcześliwa dolo kronikarza. I co by było, gdybym się zjawił w takich Bobrowicach? Azali wyniosłbym całą z nich głowę? Czcigodny Księżę Proboszczu z Bobrowic, Przeznaczni Jego Parafianie, na klęczkach i ze łzą szczerego żalu w oczach, proszę o łaskawe przebaczenie. Klnę się, że napisałem dobrze.

Zaproszono mnie do kogoś z przyjaciół na obiad. Są tam różni ludzie. Kiedy, jak najmniej mówię, z wiadomych przyczyn, i sprzątam Boże dary, słyszę pytanie, jak jeden z tegich profesorów poczyną mówić o kronice Tygodnika. Zabiło mi serce z trwogi. Straciłem apetyt. Profesor mówi, że taka kronika to może być źródłem historycznym, że jest dokumentem do pewnego stopnia, że przyszłe pokolenia mogą z niej czerpać jak z kroniki Długosza, ale taka kronika musi być na poziomie, musi oddawać właściwy stan rzeczy, właściwe nazwiska itd. Tymczasem w kronice Tygodnika czyta się przedziwne rzeczy. I to wciąż. Z nazwisk są cudaki.

— To ja piszę kronikę, profesorze. Ale te nazwiska mieszał diabeł drukarski. Wszakże pojmuję, jak wielką krzywdę wyrządzam potomnym tak nieudolną kroniką.

Jednym słowem źle. Co tu dużo mówić. Nawet mój przyjaciel Maciuś powiedział mi kiedyś:

— Grzybuś kochany, kronika to ważna rzecz. Nim napiszesz, przyjdź do mnie i zapytaj. Ja wiem wszystko. A tak odstawiasz, bratku „lipę“. Zawsze naprzód zapytaj mnie. Wtedy kronika będzie jak złoto.

Żyć mi się czasem nie chce przez tę kronikę. Księża poprostu uciekają ode mnie. Zawsze niebezpieczny jest ten Grzybowski, może napisać coś niedobre o parafii, a wtedy ludzie patrzą na proboszcza, że to niby on winien. Nawet, gdy chce dobrze napisać, ma biedak pecha. Coś mu się zawsze pokręci, jeśli nie w głowie, to w drukarni.

W jednej parafii oglądam kościół. Notuję w notesie to i owo. Już się proboszcz patrzy spod oka. Przedstawiam się.

— Grzybowski jestem, z Tygodnika.

— A, to ten „G“, co píše kronikę?

— We własnej osobie. Właśnie zbieram materiał do kroniki. Może ksiądz proboszcz będzie łaskaw udzielić parę informacji o parafii.

— Owszem, owszem — mówi nieszczerym tonem. — Bardzo nam miło. Proszę do mieszkania, tam będzie wygodniej. Idziemy na plebanie. Proboszcz za chwilę się ułatnia. Za drzwiami słyszę szept, daje zlecenia gospodyni.

— To ten z Tygodnika, co to opisuje księży i parafian. Dać mu dobry obiad, bo taki, licha wie, co o człowieku może napisać. Taki to niepewny. Z nimi zawsze trzeba najlepiej. Obiad jak na odpust.

Słyszałem, że próbowała oponować. Zatkaną jej usta.

— A co będzie, gdy napiszę, że gospodyni wygląda jak wiedźma i ma wielkiego zeza? — Świat się będzie śmiał.

Obiad był rzeczywiście doskonały. Gospodyni przypatrywała mi się ciekawie i robiła wszystko, bym o wiedźmie i zezie nie pisał. Piszę szczerze, że zeza nie miała, aczkolwiek była trochę jak Horpyna z Sienkiewicza.

I piszę chwaleć artykuły o diecezji. Mówię o tym Redaktorowi: śmieje się z człowieka, poklepuje po ramieniu i mówi:

— Grzybowski, nie ci się nie stanie. Wszystkich ludzi zawsze krytykują. Pisz dalej.

Dobrze mu mówić, gdy wszystko na mnie. Już wiem, czemu dotąd nikt nie podjął się tej sprawy. Każdemu skóra miła.

Zresztą co się tu dziwić wszystkim z diecezji, gdy w naszej redakcji nie oddają człowiekowi należytego szacunku. Taka na przykład panna Basia, co przepisuje moje artykuły. Pytam się ją publicznie: czemu podpisuje mnie czasem przez „G“ male? Czy to nie oczywisty brak szacunku, gdy dobrze wie, że od urodzenia mam przywołite nazwisko Grzybowski i że zaczyna się ono od „G“ dużego, a nie malego. Jest to dowód płochoego patrzenia na moją osobę, co sobie wypraszam; jestem osobą na miejscu. Czasem klapnie pod moim artykułem dwa, ale dla odmiany, już duże „G“. To także nie dowodzi niczego dobrego. Jeszcze kto gotów sobie źle to wytłumaczyć. Ludzie do wszystkiego są zdolni, zwłaszcza, jeżeli do kogo są źle nastawieni.

Wszędzie niedobrze. Ludzie zlitujcie się.

* * *

DOPISEK KOREKTORA

Przeznaczny Kronikarzu Tygodnika Katolickiego! Nie znam osobiście Gorzowa i tym więcej parafii, o których pisze się na łamach Tygodnika. Nie znam też panny Basi, ale stwierdziłem, że chochlik drukarski ma swojego kuzyna w Gorzowie, który zmodyfikował się i używa sobie na „klawiszach“ maszyny do pisania. I tak niedawno do artykułu o grzechu śmiertelnym (Mały Tygodnik) zmienił tytuł z „Największe nieszczeście“ na „Największe szczęście“. W innym miejscu z „licznych pomników“ zrobił „rolnicze pomniki“. Co do nazwiska Księdza Żaka istotnie było napisane Ks. Żuk. A wiadomo, że linotypista składa tak jak napisane, a korektor też nie zna nazwisk księży na Ziemiach Odzyskanych.

Podaję propozycję na „eksmisję“ chochlika z maszyny panny Basi. Poprostu niech autorzy piszący do Tygodnika przysyłają manuskrypty pisane na maszynie.

Na obronę panny Basi zapytać się muszę, czy zacił autorzy piszący do Tygodnika nie używają tak zwanego stylu pisma „aptekarzkiego“, którego (jak się to mówi), sam diabeł nie przeczyta? Wielu autorów uważa to sobie za przywilej, że piszą jak chcą, a potem maszynistkę głowa boli, a linotypista i korektor niepotrzebnie Boga obrażają.

Autorzy zacił, zlitujcie się nad nimi!

Są przecież autorzy, którzy artykuły do Tygodnika przysyłają pisane na maszynie, do których jakoś nie zakrada się chochlik „maszynkowo-drukarski“. Zróbmy wspólną akcję „eksmisyjną“ chochlików a może znikną jego „dzieła“ z łamów kroniki parafii Ziemi Zachodnich.

Więcej radości, a i panna Basia usniechnie się, linotypista i korektor mogą też mniej przeklinać, a jak manuskrypty będą już z Gorzowa poprawnie napisane, to i zacy Autor przez duże „G“ będzie mile przyjmowany przez księży proboszczów, a gospodynie nie dosypią do jedzenia za dużo — papryki.

W końcu skromna uwaga. Niech autorzy artykułu nie zapominają o tym, (jak i ci co wygodnie siedząc, krytykują Tygodnik), przez ile rąk przechodzą artykuły począwszy od redakcji aż do skończenia druku i w jakim tempie, a być może łatwiej wybaczą chochlikowi jego „wyczyny“.

Nie poszczególnie wyrazy, a treść artykułów stanowi o wartości pisma, a wiem, że ocena o „Tygodniku Katolickim“ wśród czytelników jest bardzo dobra, co chyba jest najlepszą nagrodą dla autorów, piszących na jego łamach.

Kościół i świat

— Rozszerzenie swobód wyznaniowych w Szwecji. W Szwecji, jak podają, przypada zaledwie 1 katolik na 45 km². Religia uznawana przez rząd jest protestantyzm, natomiast prawa różnych mniejszości wyznaniowych są dotąd bardzo ograniczone. Siła dynamiczna katolicyzmu skłoniła jednakże rząd szwedzki do przyjęcia projektu, który dopuści wyznawców religii katolickiej do wyższych funkcji w państwie, z wyjątkiem ministerstw sprawiedliwości i nauczania publicznego, w których wyższe stanowiska zastrzeżone są dla protestantów. — Ostatnio weszła w życie nowa ustawa, zwalniająca dzieci katolickie od przymusowego uczęszczania na nauki luterzańskie. Natomiast dzieci niekatolickie mogą być przyjmowane do szkół katolickich jedynie za zezwoleniem królewskim.

— Najstarszy książe Kościoła. Biskup portugalski Mons. Matoso z Braga obchodził w kwietniu b. r. 91 rocznicę swych urodzin. Z tej okazji otrzymał od wiernych mnóstwo depesz gratulacyjnych i z Rzymu, jako że jubilat w tej chwili jest najstarszym żyjącym dziś na świecie księciem Kościoła katolickiego.

— Procesja katolicka przed Kwirynalem. W niedzielę 8 kwietnia głównymi ulicami Rzymu przeszła uroczysta procesja, podczas której rozdawano Komunię św. wszystkim chorym. W procesji wzięły udział liczne organizacje parafialne oraz tłumy wiernych. Procesja ta udała się po raz pierwszy od 1870 roku do Kwirynału, gdzie Komunię św. udzielił jednemu ciężko choremu wysokiemu urzędnikowi kancelarii prezydenta republiki włoskiej.

— Archidiecezja wiedeńska. Archidiecezja wiedeńska liczy obecnie 597 parafii oraz 3.650.000 wiernych. Do szkół powszechnych tej diecezji uczęszcza 204.000 dzieci, z których połowa pobiera naukę religii. Do szkół średnich uczęszcza 26.000 dzieci, z których znaczna większość uczy się religii.

— Poświęcenie dzwonów kościoła św. Eugeniusza w Rzymie. Kardynał Klemens Mica, wikariusz Jego Świątobliwości, dokonał ostatnio aktu uroczystego poświęcenia 8 dzwonów przeznaczonych dla nowego kościoła św. Eugeniusza, który buduje się ze składek katolików z okazji jubileuszu kapłańskiego Ojca św. Piusa XII. Otwarcia świątyni dokonał Ojciec święty Pius XII w niedzielę 3 czerwca b. r.

— Sekciarstwo w Niemczech Zachodnich. W Niemczech Zachodnich naliczono przeszło 930 najrozmaitszych sekt religijnych. Każda z nich wykłada Pismo Święte po swojemu. Wiele z tych sekt przyniosła do Niemiec Zachodnich amerykańska armia okupacyjna.

Złoty jubileusz kapłaństwa

Księża dekanatu człuchowskiego i parafianie przechlewscy w dniu 17. III. r. b. przeżywali wielce doniosłą uroczystość Złotego Jubileuszu 50-lecia kapłaństwa ks. dziekana emeryta i proboszcza miejscowej parafii — ks. Feliksa Grzeszkiewicza. Uroczystość tak piękną z udziałem Ks. Ordynariusza gorzowskiego Tadeusza Załuszkowskiego, wielu księży i parafian po raz pierwszy w życiu mieli szczęście oglądać.

Thuny wiernych dnia tego od samego rana przybyły do kościoła i oblegały konfesjonały, aby w trybunale pokuty oczyścić swą duszę i przyjąć Pana Jezusa w intencji Jubilat. Po uroczystym wprowadzeniu do kościoła o godz. 10-tej i modlitwach przepięknych, Ks. Ordynariusz włożył jubilatowi złotą koronę na głowę, aby tym wyrazić błogosławieństwo i wyróżnienie w 50-letniej pracy kapłańskiej. W czasie Mszy św. celebrowanej przez Jubilat w asyście księży: dziekana ks. Wacławskiego i księży proboszczów, ks. Holaka i ks. Knittera Ordynariusz wygłosił podniosłe kazanie o kapłaństwie. A po uroczystościach kościelnych na tradycyjnej herbatce u gościnnego Jubilata wśród serdecznych życzeń i przemówień, Ordynariusz zapowiedział, że zgodnie z jednomyślnym życzeniem księży z dekanatu i na ich prośbę przedstawił J. E. Ks. Prymasowi Polski sprawę, aby u Ojca św. wyjednał Jubilatowi godność Szambelana Papieskiego. W ożywionej serdeczności i śpiewem „Ad multos annos” księża pożegnali Jubilat, zapowiadając swój przyjazd w komplecie na dzień 30 V. r. b. na imieniny, na których spodziewali się usłyszeć reskrypt nominacyjny.

Dnia 30. V. rb. nieobecnego Ordynariusza zastępował Przew. Ksiądz Kanclerz Kurii, ks. Marian Kumala i po kazaniu odczytał reskrypt Prymasa Polski donoszący o łasce Jego Świątobliwości, w którym Jubilat dla zasług w pracy kapłańskiej został mianowany Prałatem Szambelanem Jego Świątobliwości. Faktem tym ucieszyli się szczerze wszyscy księża dekanatu i parafianie przechlewscy.

Jednocześnie uznajemy wielką wdzięczność dla władz duchownych za pamięć i uznanie wobec proboszczów wiejskich w ich trudnej pracy.

Ks. Jubilat Feliks Grzeszkiewicz urodził się dnia 6. VI. 1877 r. w Bydgoszczy z rodziny Józefa i Anny z domu Szulc. Do gimnazjum uczęszczał w Chojnicach. Maturę złożył w r. 1897. Seminarium Duchowne ukończył w Pelplinie, został wyświęcony na kapłana dnia 17. III. 1901 r. przez ks. biskupa Rosentretera. Cztery lata był na studiach w Czernicy w Monasterze. Następnie pełnił obowiązki wikariusza tumskiego i był lat 10 prokuratorem Seminarium Duchownego w Pelplinie.

Do Przechlewa na probostwo został mianowany w r. 1920. Od początku zaraz rozpoczął pracę duszpasterską w nowoczesnym stylu. Pierwszy w dekanacie zorganizował przedszkole, a w r. 1923 Dom dla SS. Elżbietanek i sprowadził je do Przechlewa, powierzając im pracę „Caritas” i w przedszkolu.

Odnowił kościół, wstawił słynne witraże, które przez swą symbolikę stanowią bezcenny zabytek kościoła.

Nabył Drogę Krzyżową, rzeźbioną i w ogóle jako znawca sztuki i estetyki kościoła, był radcą w tych sprawach dla całego dekanatu.

Obok tego zaprowadził w duszpasterstwie Stowarzyszenia: Apostolstwo Modlitwy, mężów i kobiet, Sodalicję Mariąską, i Miśjynę związki św. Franciszka Ksawerego i Dzieciątka Jezus wśród dzieci.

Jako kapłan, za czasów hitlerowskich spowiadał po polsku narażając się na represje, które znosił z wielką cierpliwością.

Za czasów Polski odrodzonej przez trzy lata pełnił mimo wieku obowiązki dziekana. W czynnościach swych był bardzo wyrozumiałym i taktownym, czym pozyskał przyjaźń wśród konfratrów, dla tego wyrażamy Mu wielką wdzięczność i życzenia dalszej owocnej pracy na długie lata.

Konfrater.



Z wizytacji J. E. Ks. Bp. Jedwabskiego w Wilkowie Polskim.

PODZIĘKOWANIE

Najserdeczniejsze podziękowanie składa Królowej Nieba za otrzymane łaski — zdrowie i siostry „G”.

KSIĘŻA MISJONARZE ŚW. RODZINY

przyjmą do wszystkich klas

NIŻSZEGO SEMINARIUM DUCHOWNEGO

pobożnych i zdolnych młodzieńców, nawet z opóźnionym powołaniem, pragnących poświęcić się służbie kapłańsko-misjonarskiej. Zgłoszenia przyjmuje się do 31 lipca 1951 r. Kandydaci składają dnia 8 sierpnia egzamin wstępny z religii, języka polsk. i matematyki. Przyjmuje się również MATURZYSTÓW wprost do nowicjatu a kandydatów na braci zakonnych do postulatu (sześć miesięcy okres przed nowicjatem).

Adres: Prowincjałat Księży Misjonarzy św. Rodziny

Bąblin, poczta Kiszewo, pow. Oborniki Wkp.

Poszukuje się ORGANISTY do parafii Breń, poczta Bierzwnik, pow. Choszczno.

KANDYDACY NA KAPŁANÓW

Przyjmuje się zdolnych i pobożnych młodzieńców do ósmej, dziewiątej i dziesiątej klasy

NIŻSZEGO

SEMINARIUM DUCHOWNEGO TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Maturzyści mogą być przyjęci do nowicjatu. Ministranci i byli ministranci mają pierwszeństwo.

Bliższych informacji udziela

TOWARZYSTWO CHRYSZTUSOWE

(Seminarium Zagraniczne)

POZNAŃ, ul. Lubrańskiego 1a.

OGŁOSZENIE

Młodzieńcy, którzy mają zamiłowanie do pracy w kościele jako zakrystianie i organistów, do prac biurowych i pielęgnarskich a czują w sobie powołanie poświęcenia się na wyłączną służbę Bożą w charakterze brata zakonnego mogą się zgłaszać pod adresem:

ZGROMADZENIE

BRACI SERCA JEZUSOWEGO PUSZCZYKOWO, pow. Poznań.

Wiek: 16—35 lat.

Rzemieślników różnego rodzaju również się chętnie przyjmuje.

Do zgłoszenia należy dołączyć: świadectwo urodzenia i chrztu, bierzmowania, moralności od ks. proboszcza, świadectwo lekarskie i szkolne oraz fotografie.

Na odpowiedź dołączyć należy znaczek pocztowy.

ORGANISTA

żonaty, może prowadzić chór i kancelarie, poszukuje posady. Zgłoszenia kierować do Redakcji Tygodnika Katolickiego.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.

Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch” Poznań, ul. Kantaka 8-9.

P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Wksp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 868 — 6. 51.

K-2 — 15189 — 7. 7. 51. Druk ukończono 11. 7. 51.